

MARIUSZ GADOMSKI

Z Lublina donoszą

OHYDNY MORD

Zbrodnie sprzed lat



Mariusz Gadomski

Z Lublina donoszą.
Ohydny mord

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2019

Mariusz Gadomski

„Z Lublina donoszą. Ohydny mord”

Copyright © by **Mariusz Gadomski**, 2019

Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.** 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**

Projekt okładki: **Mariusz Gadomski**

Korekta: **Robert Olejnik**

Skład epub, mobi i pdf: **Kamil Skitek**

ISBN: 978-83-8119-636-9

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści:

Od autora	5
1. Rycaj – bandyta na zlecenie	7
2. Hipek Wariat i sześć nagich kobiet	36
3. Tragiczny romans z cukrem w tle.....	91
4. Józiek Głowacki padł. Historia lubelskiego Dillingera.....	105
5. Jutra nie było. Sprawa Gorzela, głośna ale prosta	122
6. Gdziekolwiek jesteś.....	142
7. Ballada kolejowa – seryjny z Podlasia.....	157
8. Ciolo nie zazna spokoju	200

Od autora

Godziny spędzone w bibliotekach i archiwach, pożółkły papier, zatarty druk i nieco karkołomne językowo sformułowania w stylu: „Donoszą nam, iż dzięki sprężystemu śledztwu....”, okazały się koktajlem nader inspirującym do wskrzeszenia kilku autentycznych historii kryminalnych, które albo popadły w zapomnienie, albo żyją swoim życiem jako legendy miejskie, zupełnie nieraz na bakier z faktami.

Utwory kryminalne, a ściślej rzecz ujmując, opowieści o morderstwach – bo o nich tu mowa – są to tak naprawdę schematyczne historie. Niezależnie od tego, jak bardzo zawikłana jest ich intryga (wymyślona przez autora lub wyreżyserowana przez życie), w ostatecznym rozrachunku wszystko sprowadza się do pożądania, urojeń, chęci zysku, zemsty, poczucia krzywdy i poczucia zagrożenia. Wszystkie historie, opisujące zbrodnie, są więc w pewnym sensie wariacjami na ten sam temat.

Świadome i zaplanowane morderstwo to coś okropnego, nawet obrzydliwego. Sprawcy budzą w nas strach i odrazę. Nie bądźmy jednak hipokrytami – lubimy kryminały. Ale nie byłoby ich, gdyby od czasów niejakiego Kaina ludzie nie zaczęli, przy użyciu różnych narzędzi zbrodni, selekcji swojego własnego gatunku. Szekspir nie napisałby „Makbeta” a Dostojewski „Zbrodni i kary”. Być może talent literacki Agathy Christie i sir Arthura Conan-Doyle'a

poszedłby na zmarnowanie, Hitchcock nie musiałby przez tydzień katować kamerzystów kręceniem sceny pod prysznicem w „Psychozie”, a Anthony Hopkins, nie zagrawszy Hannibala Lectera, wciąż pozostawałby „pierwszorzędnym aktorem drugorzędnym”.

Zasięg terytorialny niniejszego pitawala jest szerszy niż Lublin, z którego „donoszą o ohydny mordzie”. Obejmuje – nie, nie Lubelszczyznę. Podobno Lubelszczyzny nie ma i nie było. Są tacy, co wierzą, że termin ten, podobnie jak „Kielecczyzna” czy „Rzeszowszczyzna” został ukuty na fali nowomowy przez komunistów, którzy nie znali się na mapie ani na historii. Faktem jest, że co niektórych „Lubelszczyzna” doprowadza do szewskiej pasji, i nie zawahaliby się użyć wszelkich środków, żeby ją wybić innym z głowy. W związku z tym wolę użyć terminu „obszar dawnej Guberni Lubelskiej”, co nie jest pozbawione sensu, bo podział taki (bądź zbliżony) wciąż funkcjonuje np. w sądownictwie.

„Zbrodnie sprzed lat” zdają się sugerować, że chodzi o wydarzenia, które rozgrywały się, gdy nie było nas jeszcze na świecie, albo byliśmy zbyt mali, żeby się nimi interesować. Dlatego też wahałem się, czy dołączyć do zbiorku sprawy z lat 90. ubiegłego wieku. Dla mnie to niemal wczoraj. Ale ludzie są różni i mogą mieć inne zdanie, nie należy wszystkiego i wszystkich mierzyć własną miarą. Jedna taka historia znalazła się zatem. Tym bardziej, że można się zgodzić, że czasy, gdy nie było Facebooka i Biedronek to naprawdę zamierzchła przeszłość.

1. Rycaj – bandyta na zlecenie

Woźnica smagał konie batem, poganiany przez oprycha z kwadratową szczęką, który celował do niego z rewolweru. W powozie wykrwawiał się drugi bandyta; miał paskudną ranę brzucha i nieprzerwanie jęczał z bólu. Zmarł, nim dojechali do granic majątku Świdniki.

Kompan zabitego nakazał stangretowi skręcić w las i tam zatrzymać karecę. Obszukał martwego towarzysza; zabrał mu przyczepioną do ubrania broń, następnie opróżnił jego kieszenie a na koniec ściągnął mu z nóg buty. Zwrócił się do woźnicy:

- Odwieź go z powrotem do dworu, niech go zakopią razem z tym psem Węgłeńskim. Masz tu 10 rubli za fatygę. Jak będziesz kiedy w Skierbieszowie, to powiedz ludziom, że Rycaj zabity.

Powiedziawszy to bandyta, objuczony łupami i przedmiotami zabranymi zmarłemu, wyskoczył z powozu a po chwili zniknął w leśnym gąszczu.

Przestrzeń życiowa do zasiedlenia

Banda rozbójnicza Jana Rycaja działała przez kilka miesięcy. Chociaż od śmierci herszta minęło ponad 100 lat, współcześni mieszkańcy Zamojszczyzny znają tę postać z opowieści ojców i dziadków. I to jest swego rodzaju fenomen.

Takich band było przed wiekiem mnóstwo we wschodniej części województwa lubelskiego. Bandyty rekrutowali się z wyjętych spod prawa chłopów, jak również z byłych bojowców-rewolucjonistów, którzy sprzeniewierzyli się ideom niepodległościowym, by mordować i rabować dla zysku. Wszystkie te bandy stosowały podobne metody; przestępcy byli bezwzględni dla ofiar, zuchwali do granic rozsądku, nie wahali się zabijać przeciwników, a na terenie, gdzie działali, zastraszaali miejscową ludność. A jednak nikt dziś o nich nie pamięta poza miłośnikami archiwaliów.

Czym zatem Jan Rycaj i jego podwładni zasłużyli sobie na pamięć potomnych? Otóż najprawdopodobniej nie była to zwyczajna banda zbójcka. Niewykluczone, że prolog tej historii rozegrał się na... dworze cara Mikołaja II i w rosyjskiej Dumie Państwowej.

6 lipca 1912 r. ustawą rosyjskiego parlamentu została utworzona gubernia chełmska. Był to obszar o powierzchni około 16 tysięcy km kwadratowych z blisko 1-milionową ludnością, wyodrębniony z części guberni lubelskiej i siedleckiej. W skład nowej guberni, potocznie zwanej Chełmszczyzną, weszły m.in. powiaty: bialski, hrubieszowski i tomaszowski (w całości), oraz większe lub

mniejsze części chełmskiego, biłgorajskiego, zamojskiego i krasnostawskiego.

Inicjatywę utworzenia guberni chełmskiej wysunął prawosławny biskup chełmski Eulogiusz, zagrożony skutkami carskiego ukazu tolerancyjnego (1905), w wyniku którego unicy, siłą włączeni do prawosławia w 1875 roku, przechodzili na katolicyzm. Deputowani ochoczo poparli duchownego, wydzielenie guberni miało bowiem zapobiec oderwaniu Kraju Przywiślańskiego od Rosji w razie europejskiego konfliktu zbrojnego, o którym coraz częściej się mówiło.

Gubernia chełmska znajdowała się pod znacznie większą kontrolą administracji carskiej niż ziemie Kongresówki. Dla obywateli narodowości polskiej, zamieszkujących tereny nowej jednostki administracyjnej, utworzenie jej oznaczało więc nasilenie rusyfikacji ze wszelkimi jej konsekwencjami.

Natomiast dla „istinnoruskich” (prawdziwych Rosjan) na 16 tysiącach kilometrów kwadratowych urodzajnej ziemi otwierała się „nowa przestrzeń życiowa” do zasiedlenia i zagospodarowania. Toteż zakusy na Chełmszczyznę rozpoczęły się jeszcze przed zakończeniem – w kwietniu 1913 r. – procesu wytyczania granic guberni chełmskiej.

Co tam, panie, wojna światowa, my mamy swoją!

Na początku 1913 r. gazety rozpisywały się o możliwym konflikcie zbrojnym na niespotykaną dotąd skalę. Jednak społeczeństwo oddalało od siebie groźbę wybuchu wojny, oddając się uciechom życia towarzysko-kulturalnego. W wielkomijskich salonach, ale także w dworach na prowincji belle époque miała się znakomicie. Rozprawiano o coraz szybszych samochodach i innych nowych wynalazkach, które zrewolucjonizują świat, jak też o twórczości pana Prousta i jego cyklu powieściowym pod wielce frapującym tytułem „W poszukiwaniu straconego czasu”.

Mieszkańcy powiatów, które miały być włączone do guberni chełmskiej obawiali się, że nie upłynie zbyt wiele czasu od wejścia w życie ustawy Dumy, gdy ich swobody obywatelskie (których i tak nie mieli dużo) zostaną podeptane butem Moskala. Ale dręczył ich też problem innej natury. Od kilku miesięcy na terenie wspomnianych powiatów dochodziło do brutalnych napadów rabunkowych. Początkowo na włościan i sklepikarzy, potem również na dzierżawców i właścicieli majątków ziemskich. Sprawcy działali z zaskoczenia, rabowali pieniądze i kosztowności. Mieli na sumieniu morderstwa.

- Co tam, panie dobrodzieju, szybkie automobile czy wojna światowa – mówił z rezygnacją obywatel do obywatela przy obiedzie w zamojskiej „Centralce” i handlarz do handlarza na targu końskim w Turobinie. - Prawdziwą wojnę to mamy u siebie!

Bandycka szajka składała się z kilkunastu prymitywnych osobników, najprawdopodobniej niepiśmiennych chłopów, ale ich hersztem – jak wynikało ze spostrzeżeń pokrzywdzonych – był człowiek posiadający pewną ogładę, „chłopak piękny jak marzenie”, ubrany z miejska, poprawnie wystawiający się. Miał u podkomendnych duży posłuch.

Banda rozpoczęła swój krwawy marsz 17 grudnia 1912 r. w pobliżu wsi Rakołupy w powiecie chełmskim od zabójstwa strażnika ziemskiego Antoniego Semeniuka. Po zastrzeleniu go, zrabowali mu pieniądze. Dokładnie miesiąc później, 17 stycznia 1913 r., w miejscowości Bończa najpierw osaczyli na drodze włościanina Mateusza Gołęba i zabrali mu konie, a następnie zjawili się na folwarku hrabiego Poletyły w Kraśniczynie i, po sterroryzowaniu rewolwerami kasjera Giełżyńskiego, zrabowali 600 rubli, broń i wartościowe futro. Odjechali dwoma wozami.

Strażnicy ziemscy ruszyli za bandytami w pościg, ale nie udało im się ich schwytać. Dopiero nazajutrz zatrzymali jednego z uczestników napadu, niejakiego Nowakowskiego, skazanego za zabójstwo na ciężkie roboty, który zbiegł z kazamatów. Dowiedzieli się od niego i przekazali informację policji, że hersztem bandy jest Jan Rycaj ze Skierbieszowa.

Nazwisko to nie było im obce. Rycaj, niegdyś czeladnik kowalski, już dobrych kilka lat temu porzucił uczciwe życie i stał się zawodowym przestępcą, dając się we znaki okolicznej ludności. Zaczynał od kradzieży gołębi i drobnych przedmiotów z komór i spiżarni w gospodarstwach

wiejskich, by z czasem przerzucić się na grubszy asortyment w postaci bydła i nierogacizny. Został przyłapany na złodziejstwie i wyrokiem sądu skazany na 8,5 roku ciężkich robót w jednym z rosyjskich więzień. Podobno udało mu się uciec z roty aresztanckiej i jak gdyby nigdy nic wrócił w rodzinne strony, żeby - pozostając nieuchwytny dla władz - po dawnemu żyć z kradzieży i rabunków.

Rycaj miał w Skierbieszowie żonę i trójkę dzieci; jak przychodziła po niego policja, żona zawsze mówiła, że od dłuższego czasu nie widziała męża, który, jak utrzymywała, wyemigrował do Ameryki. Na dowód, że nie kłamie, pokazywała listy, rzekomo napisane przez niego ze Stanów Zjednoczonych. Wiadomo było jednak, że nigdzie nie wyjechał, tylko ukrywał się w okolicy. Ludzie wiedzieli o tym, bo niejednokrotnie go widywali, jednak bali się jego zemsty i milczeli, gdy policja o niego rozpytywała.

Robota w Białowodach

Zeznanie złożone przez schwytanego Nowakowskiego zdawało się dowodzić, że Rycaj, zostawszy hersztem zorganizowanej bandy rozbójniczej, posługującej się bronią palną, wskoczył niejako na wyższy przestępczy poziom. No cóż, co by nie powiedzieć o niedoszłym kowalu ze Skierbieszowa, nie można mu było odmówić sprytu, inteligencji i zdolności przywódczych.

Powodzenie pierwszych skoków i poczucie bezkarności uskrzydliły bandytów. Ich aktywność zdecydowanie wzrosła w następnym miesiącu. 8 lutego – napad na właścicielkę sklepu we wsi Krasne I. Różańską i napad tegoż dnia w tej samej wsi na sklep włościanina Jana Radomskiego. 19 lutego nieudany rabunek trzech koni włościaninowi Łukaszowi Buczko w Niewirkowie i zabójstwo Ignacego Mużyczuka. W tym samym dniu w sąsiadującej z Niewirkowem wsi Cześniki kradzież koni Mikołajowi Korylakowi i Pawłowi Samile.

24 lutego 1913 r. banda Rycaja dokonała głośnego napadu na majątek Jadwigi Czachórskiej w Białowodach. Dziedziczka była osobą bywałą w świecie, odebrała staranne wykształcenie. Jej nieżyjący mąż Jan był bratem znanego malarza Władysława Czachórskiego; artysta po śmierci brata sprzedał rodzową posiadłość w pobliskim Grabowczyku i na jakiś czas zamieszkał w Białowodach, w majątku bratowej. Namalował m.in. portret córki Henryka Sienkiewicza, Jadwigi, za co otrzymał w podziękę od pisarza-noblisty drogocenny żyrandol. Był też autorem cenionych obrazów o tematyce szekspirowskiej. Zmarł w 1911 r. w Monachium.

Dla bandytów nie miało to żadnego znaczenia. Po zapadnięciu zmroku przyjechali dwoma wozami konnymi. Było ich ośmiu, wszyscy uzbrojeni w mauser, browningi i nagany. Czterech zostało na podwórzu, żeby przypilnować fornali i parobków. Pozostała czwórka weszła do dworu

bocznym wejściem. W kuchni, gdzie robiono porządki po kolacji, w mgnieniu oka sterroryzowali browningami lokaja i pokojówkę.

- Prowadźcie do dziedziczki, jeśli wam życie miłe! – nakazali, trzymając ich na muszkach.

Wystraszona służba wskazała im niewielki buduar w głębi domu. Nieświadoma śmiertelnego niebezpieczeństwa właścicielka majątku Białowody siedziała przy herbacie. Widok czterech drabów z rewolwerami w garści poruszył ją, ale starała się zachować zimną krew.

- Czym mogę panom służyć? - spytała sucho.

Rycaj zażądał od Czachórskiej wydania całej posiadanej gotówki i wszystkich wartościowych przedmiotów. Dziedziczka w milczeniu rzuciła na stół pugilares z pieniędzmi. Było w nim 800 rubli.

- Mało, dobrodziejko – stwierdził Rycaj. - A gdzie złoto, srebra, klejnoty rodowe?

Czachórska niedbałym gestem wskazała kredens, po czym sięgnęła po filiżankę herbatą, nie interesując się poczynaniami zbirów. A ci, robiąc niemożliwy harmider, łapczywie rzucili się na srebrną zastawę stołową na 48 osób, srebrne platery i koszyki i pakowali je do pojemnych worków, które przynieśli ze sobą. Wciąż jednak było im mało. Zażądali od dziedziczki oddania biżuterii osobistej, plądrowali każdy kąt gabinetu. Ich łupem stawały się pamiątki po zmarłym mężu i szwagrze dziedziczki. Czachórska zaapelowała do herszta.

- Zostałam zmuszona do wydania pieniędzy i kosztowności, więc bierzcie je sobie. Proszę jednak pana o zwrócenie uwagi swoim ludzi, żeby poszanowali drogie memu sercu przedmioty, które dla panów nie przedstawiają dużej wartości.

- Bez obaw, łaskawa pani – zareplikował Rycaj z krzywym uśmiechem. - To dobre chłopaki i na pewno niczego nie poniszczą.

Przeszukiwali pokój i rabowali przez trzy godziny. Potem zgłodnieli i zażądali od właścicielki majątku jedzenia i alkoholu. Poszli z nią do kuchni a następnie do piwnicy, skąd przynieśli kilka butelek wina. Nie dane im było jednak posilić się w spokoju, ponieważ na podwórzu rozległy się strzały.

Jeden z fernali, korzystając z tego, że czwórka pilnujących ich opryszków zajęła się flirtowaniem z dziewczkami folwarcznymi, chciał się wydostać poza teren dworu, żeby powiadomić wieś o napadzie. Jego próba ucieczki została zauważona, bandyci zasypali go strzałami z rewolwerów. Jedna z kul trafiła odważnego fernala w nogę.

Zdarzenie to było dla bandy sygnałem do odwrotu. Odjeżdżając, nakazali mieszkańcom dworu nie ruszać się nigdzie do północy. W przeciwnym razie wrócą i wystrzelają wszystkich jak kaczki. Pomimo tej groźby, gdy tylko ich wozy się oddaliły, wezwano telefonicznie pomoc. Ranny fernal został odwieziony do szpitala w Lublinie.

Policja przygląda się

Napad na dwór w Białowodach głęboko wstrząsnął opinią publiczną. Coś tak zuchwałego jak zbrojne najście bandyckie na dwór szlachecki, stanowiący ostoję polskiej tradycji i wartości narodowych, odbierano niemal jak zamach na świętość lub zapowiedź krwawej rewolucji, przed którą ostrzegała konserwatywna część społeczeństwa, wrogo nastawiona do modnych od pewnego czasu hasel o równości wszystkich stanów. Przecież równości nie było, nie ma i nie będzie. Każdy powinien znać swoje miejsce; pan jest panem, chłop jest chłopem – i niech tak zostanie, bo inaczej ludziom tylko miesza się w głowach.

Opinia publiczna była jednakowoż przekonana, że sprawcom napadu, którzy za daleko się posunęli w swoim bandyckim zaciętrzewieniu, nie ujdzie płazem ta zbrodnia. Spodziewano się energicznego śledztwa, szybkiego wyłapania winnych i przykładowego ukarania ich przez sąd. Przypuszczano nawet, że sami bandyci – po niewczasie zrozumiałwszy czego się dopuścili – opamiętają się, zaprzestaną dalszych zbrodni i, ruszeni sumieniem, dobrowolnie oddadzą się w ręce władzy.

Były to niestety pobożne życzenia. Zwłaszcza te o energicznym śledztwie. Do tej pory policja działała opieszale. Nie spieszyła się z przybyciem na miejsce przestępstwa. Dochodzenie prowadzone było w sposób zdawkowy, ograniczano się w zasadzie do spisania

powstałych w wyniku napadu strat. O zorganizowaniu obławy na bandytów i wykorzystaniu do pomocy strażników ziemskich i okolicznych mieszkańców, którzy jako miejscowi znali teren i mogli wskazać przypuszczalne kryjówki przestępców, nie było mowy. Z całą pewnością policja nie prowadziła energicznego śledztwa lecz beznamiętnie przyglądała się rozgrywanym wypadkom.

W dwa tygodnie po napadzie na majątek Białowody bandyci zjawili się w Cześnikach w powiecie zamojskim, gdzie niedawno zrabowali chłopom konie. 5 marca 1913 r. wtargnęli do posiadłości Adama Sierakowskiego, syna uczestnika Powstania Styczniowego. Dziedzic na cały dzień wyjechał do Lublina, wypłacić z banku większą sumę pieniędzy. Bandyci wiedzieli o tym. Musieli mieć współnika wśród służby dworskiej, który przekazał im te informacje. Zdecydowali się przyjechać wcześniej żeby najpierw obłowić się na pozostałych w domu mieszkańcach, a następnie obrabować Sierakowskiego.

Zbliżała się godzina siódma wieczorem, we dworze przebywały cztery panie i jeden staruszek. Nagle drzwi do salonu się rozwarły, do środka weszli trzej mężczyźni. Pozostałych pięciu bandytów stało na straży na zewnątrz budynku. Jeden z przybyłych, cuchnący wódką kosmaty drab, bez słowa zerwał łańcuszek z szyi jednej z dam, siedzących przy stole.

Został ostro zgromiony przez Rycaja. Herszt bandytów zwracał uwagę eleganckim ubiorem i gładkimi manierami.

Powiedział do obrabowanej kobiety „proszę mu wybaczyć, to nieokrzesany muzyk”, ale łańcuszka jej nie oddał.

Zrabowali kilkadziesiąt rubli gotówką, srebra wartości 600 rubli i biżuterię pani domu oraz kobiet, które były z wizytą u Sierakowskich. Rycaj raz jeszcze okazał swoje „światowe” maniere i szeroki niewątpliwie gest. W pewnym momencie jedna z młodych mężatek spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

- Madame... - ukłonił się.

- Niech pan weźmie wszystko inne, ale proszę o zwrot obrączki – powiedziała kobieta drżącym głosem.

- Wszystko inne – powtórzył smakując jej słowa i patrząc jej głęboko w oczy i dekolt. – Ależ, oczywiście, jestem gotów spełnić pani prośbę – powiedział grzecznym tonem. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął garść biżuterii. - Proszę sobie wybrać...

Ulitował się też nad guwernantką, obywatelką Szwajcarii, która oddała rabusiom dwie złote broszki i parę kolczyków. Był to cały jej majątek. Rycaj dowiedziawszy się o tym, nakazał kompanom zwrócić cudzoziemce biżuterię.

Pojawiła się szansa na sprowadzenie policji. Jeden ze służących wykorzystał nieuwagę pilnujących ich bandytów, niepostrzeżenie wymknął się z majątku i pobiegł do odległego o 4 wiorsty (nieco ponad 5 kilometrów) Jarosławca, skąd zatelefonował do Zamościa po policję. Informując o napadzie, zaznaczył, że z zachowania bandytów można wywnioskować, że zamierzają oni dłuższy czas gospodarować w Cześnikach.

W odpowiedzi nakazano mu wracać do majątku, zachować spokój i poinstruować wszystkich, by nie podejmowali żadnych akcji przeciwko bandzie, tylko czekali na ekipę śledczą.

I stała się rzecz zadziwiająca, a ściślej rzecz biorąc, nic się nie działo. Minęła godzina, potem druga i trzecia a policji wciąż nie było, mimo iż Cześniki od Zamościa dzieliła odległość 12 wiorst. Bandyci czekali do dziewiątej na powrót dziedzica. Jednak się go nie doczekali (jak się potem okazało Sierakowski z powodu awarii samochodu zanoconował w Lublinie) i zdecydowali się na odwrót.

Inspektorzy policji zjawili się dopiero o drugiej w nocy, sześć godzin po wezwaniu. Nie mogli się nawet wytłumaczyć kiepskim stanem dróg na Zamojszczyźnie, gdzie w niektórych miejscach konie zapadały się po brzuch w błocie, ponieważ akurat wspomniany odcinek był utwardzony. Nie mieli zresztą zamiaru się tłumaczyć.

Uwagi poirytowanych domowników, że na skutek opieszałości policji, bandyci zdążyli uciec z łupem, nie zrobiły wrażenia na ponurych i kiepsko mówiących po polsku agentach śledczych. Bez ceremonii odprawili wszystkich, zażądali przydzielenia ciepłego pokoju, w którym spisali protokół, po czym zaczęli się szykować do opuszczenia majątku.

Skutek ich „interwencji” był taki, że nie niepokojeni przez nikogo bandyci bez przeszkód dotarli do Horyszowa Polskiego i napadli tam na dom Romana Grodeckiego,

dzierżawcy majątku hr. Zamoyskiego. Postrzelili jedną osobę.

Dziennikarz Ziemi Lubelskiej, opisując ten godny pożałowania incydent, porównał zamojskich policjantów do żandarmów z wesołej operetki Gasparone autorstwa Karla Millöckera, którzy regularnie się spóźniają i przychodzą tylko po to, aby skostatować, że bandyci uciekli.

„Kochać się w skargach jest rzeczą niewieścią...”

Z każdym kolejnym napadem, dokonany przez brutalną bandę, wzrastała psychoza strachu wśród właścicieli okolicznych majątków oraz fernali, parobków, sklepikarzy, rzemieślników. Obcy, kręcący się po wsi, budzili podejrzenie. Trwożny nastrój był tak wielki, że najmniejszy wypadek brano za bandycki napad.

W tych dniach w majątku Krupe w powiecie krasnostawskim, należącym do państwa Okołów-Kozarin, służba zauważyła w oborze niespokojnie zachowującą się krowę. Ponieważ zaobserwowano u niej objawy wścieklizny, zdecydowano się ją prewencyjnie zastrzelić. Odgłos strzału wywołał niespotykaną panikę wśród mieszkańców wsi, przekonanych, że do dworu wtargnęli bandyci.

Fałszywy alarm miał również miejsce w Terebińcu pod Hrubieszowem i narobił jeszcze więcej zamieszania. Jakaś kobieta prała w rzece bieliznę. W pobliżu przechodziło dwóch nieznanych jej mężczyzn, którzy prowadząc ze sobą głośną rozmowę, wspomnieli, że wybierają się na obiad do dworu pani Podhoreckiej. Słyszając to praczka zesztyniała ze strachu; porzuciła tarę i kijanki i na łeb na szyję pognąła do właścicielki majątku z ostrzeżeniem, że „zbiry właśnie się na drodze zmawiają na robotę”. Podhorecka chwyciła za słuchawkę telefonu i zadzwoniła do Hrubieszowa, skąd wysłano wojsko i straż ziemską z obławą. Wkrótce aresztowano owych dwóch jegomości, ale ponad wszelką wątpliwość okazało się, że nie są bandytami. Nigdy w życiu nie widzieli Rycaja, nie wiedzą kto zacz i absolutnie nie mieli w stosunku do mieszkańców dworu złych zamiarów. Znaleźli się po prostu w nieodpowiednim miejscu i czasie.

Ludzie żyli nie tylko w strachu o życie i mienie, ale również w gorzkim poczuciu osamotnienia. Jaskrawy przykład z Białowodów, Cześników czy Horyszowa Polskiego dobitnie obrazował, że w razie nieszczęścia nie ma co liczyć na pomoc i szybkie działanie policji, która jak na ironię wykazywała aktywność tylko wtedy, gdy informacje o napadzie okazywały się nieprawdziwe. Natomiast w sytuacji rzeczywistego zagrożenia była ślepa i głucha.

- I na cóż im mechaniczne konie, telefony, szybkostrzelne rewolwery, skoro nie potrafią nawet przybyć na czas? - pytano z bolesną retoryką.

Niektórzy nie mieli zamiaru ronić łez i beczynn timer czekać na wizytę opryszków. Wszak „kochać się w skargach jest rzeczą niewieścią, mężom przystoi w milczeniu się zbroić” - i zupełnie serio brali sobie do serca napomnienie Adama Asnyka.

- Jeśli sami nie chwycimy za broń i nie damy im odporu, pozarzynają nas jak stado baranów – przestrzegali.

Szczególną aktywność w tworzeniu domowej samoobrony wykazywał Jan Węgleński, herbu Szreniawa, właściciel majątku Świdniki w Hrubieszowskim. Jednym z jego przodków był minister skarbu Królestwa Polskiego (nosił takie samo imię i nazwisko), który walnie przyczynił się do powstania w 1816 r. Uniwersytetu Warszawskiego. Szwagierką Węgleńskiego była Jadwiga Czachórska.

Jako człowiek systematyczny, dokładnie przeanalizował sposób, w jaki dokonywane były napady. W tym celu kontaktował się z Czachórką po tym jak banda Rycaja ograbiła ją z pieniędzy, kosztowności i pamiątek. Najważniejszym spostrzeżeniem była pora dnia. Za każdym razem banda (zwykle w liczbie ośmiu ludzi) przychodziła do majątków po zapadnięciu zmroku. Nigdy w biały dzień. Toteż z polecenia dziedzica bramę dworu i wszelkie wejścia do pomieszczeń mieszkalnych bezwzględnie zamykano wraz z wybiciem godziny piątej po południu. Służba miała surowo nakazane nie wpuszczać nikogo bez należytego wylegitymowania. Zachowanie takie wpoił nie tylko kamerdynerowi, lokajom i pokojówkom, ale również najbliższej rodzinie – żonie Marii i córce Janinie. Jako

doskonały strzelec, zawsze miał pod ręką śrutówkę systemu Browninga.

Jatki w Świdnikach

Niestety, Węgleński popełnił w swoich kalkulacjach kardynalny błąd. Być może jako człowiek wierzący w systemy i porządek, nie dopuszczał myśli, że dla innych bogiem może być chaos.

Przyjął, że działająca według schematu banda nie zaatakuje w biały dzień lecz o zmierzchu. Zapewne zapomniał, że prawie każdy system zawiera zmienne, które należy brać pod uwagę.

Chociaż starał się, żeby nikt niepowołany nie dowiedział się o podjętych przez niego środkach ostrożności, to musiały one dotrzeć do uszu bandytów, którzy przechytrzyli dziedzica.

To był poniedziałek 17 marca 1913, parę minut po drugiej po południu, czyli na trzy godziny przed zamknięciem bram dworu. Korzystając ze słońca i cieplej jak na tę porę roku temperatury, czternastoletnia Janina Węgleńska bawiła się w ogrodzie. Naraz zobaczyła w oddali trzech mężczyzn zmierzających w kierunku bocznego wejścia do domu.

Jednego z nich, gorzelanego (pracownika gorzelni) w majątku ojca, znała. Dwóch pozostałych widziała po raz

pierwszy.

Jeden z przybyszów miał niedźwiedziowatą posturę, kwadratową szczękę i niskie czoło, na które opadała grzywa czarnych przetłuszczonych włosów. Twarz drugiego była tak gładka i piękna, że czternastoletnia dziewczynka mogłaby się w nim zakochać.

Podkraśla się bliżej i usłyszała rozmowę mężczyzn. Dwaj, których nie знаła, nakazali gorzelanemu zaprowadzić się do gabinetu dziedzica. Zauważyła, że grożą mu rewolwerami. W jednej chwili zrozumiała, że to owi bandyci, o których papo mówi, że napadają na dwory.

Pomyślała, że idą zrobić mu krzywdę i ruszyła biegiem, żeby go ostrzec. Nie mogła jednak dostać się do pałacu tym samym wejściem, bo wówczas by się na nich natknęła. Pobiegła więc do drzwi frontowych. Gdy tylko znalazła się w środku, pojęła, że przybyła za późno. W przedpokoju pod gabinetem ojca stał poblady lokaj; z jego barku ściekała struga krwi. Ujrzawszy Janinę pobladł jeszcze bardziej i szepnął zdrętwiałymi wargami „na Boga niech panienska tam nie wchodzi, strzelają!”.

Nie posłuchała go. Musiała ratować ojca. W chwili gdy otwierała drzwi do gabinetu, rozległ się huk wystrzału. Zobaczyła jak ojciec trafiony kulą w głowę, osuwa się na podłogę. Stojący naprzeciw niego zbir z kwadratową szczęką ścisnął w garści rewolwer, z którego po strzale wydobywał się dym. Jego towarzysz leżał obok z raną brzucha.

Węgleński jeszcze żył. Ujrawszy biegnącą do niego córkę i skierowaną w nią przez bandytę lufę mausera, ostatnim wysiłkiem woli krzyknął, żeby się uchyliła. Dzięki temu ostrzeżeniu wystrzelona kula tylko niegroźnie drasnęła ją w bok.

Mimo bólu, dziewczynka uklękła przy ciężko rannym ojcu i zaczęła się modlić w jego intencji. Ale nie mogła mu już pomóc. Po chwili Węgleński zmarł na oczach córki.

Potem spojrzała na zabójcę. Bandyta zaczął strzelać w jej kierunku z dwóch rewolwerów jednocześnie, nie czyniąc jej jednak żadnej krzywdy. Przestał dopiero, gdy wyczerpały mu się magazynki. Huk wystrzałów sprowadził do gabinetu przebywającą w odległej części domu Marię Węgleńską. Dziedziczka stanęła w progu oniemiała. Zbir zdążył w tym czasie naładować rewolwery, po czym nakazał jej usiąść na podłodze przy córce i martwym mężu.

Po chwili rozkazał dziewczynce przynieść nóż. Gdy wykonała polecenie, powiedział:

- Na rodzzonego ojca nóż przyniosłaś. Patrz teraz, co ja z nim zrobię za to, że mi brata zastrzelił.

I na oczach dziedziczki i jej córki wielokrotnie wbił nóż w zwłoki Węgleńskiego i kopał go w głowę. Nie pozwalał im odwracać wzroku. Kres temu bestialstwu położył dopiero dogorywający w kącie Rycaj. Przykazał kompanowi dać już spokój i „zająć się interesem”.

Interesem – czyli rabunkiem. Bandyta posłuszny rozkazowi herszta zażądał od pani domu opatrzenia ran towarzysza a potem zrabował pieniądze i kosztowności na

sumę ok. 1500 rubli. Nie wyglądał na usatysfakcjonowanego. Wtedy dziewczynka zdjęła z szyi medalik z chrztu i oddała mu go, błagając go, żeby oszczędził jej matkę.

Zbir spojrział krzywo na medalik ale włożył go do worka z łupami, który następnie zarzucił sobie na ramię. Powiedział, że wychodzi. Ale nie sam. Zastaniając się obiema Węgleńskimi i trzymając je na muszce, wyszedł wraz z nimi z pałacu.

Na podwórzu stała prawie cała służba i wszyscy folwarczni. W rękach rządcy, kucharza i gorzelanego połyskiwały dubeltówki. Ale cóż z tego? Nie mogli go unieszkodliwić, bo wciąż jak tarczami osłaniał się dziedziczką i panną Janiną.

Bandyta nakazał stajennemu przyprowadzić z powozowni karetę, zaprzężoną w cztery konie, a lokajowi wyniesienie z pałacu rannego herszta i delikatne ułożenie go w powozie. Zanim wykonano wszystkie polecenia, oddał kilka strzałów w powietrze.

- A teraz ruszaj z kopyta w las! - rzucił do woźnicy. Potem zwrócił się do stojących na podwórzu ludzi. - Jak kto będzie mnie ścigał albo strzelał do powozu, to wrócę i wybiję wszystkich co do nogi.

Dalszy przebieg wypadków zrelacjonował furman Buczak. Po ujechaniu kilku wiorst bandyta kazał mu zatrzymać powóz w pobliżu lasu. Jego kompan już nie żył. Obrabował

go, po czym krzyknął do woźnicy, żeby wracał ze zmarłym do dworu.

- Niech go zakopią razem z tym psem Węgłęńskim – rzucił. Wręczył Buczakowi 10 rubli i nakazał mu, żeby jak będzie w Skierbieszowie powiedział ludziom, że Rycaj padł. Po czym odwrócił się i z workiem na plecach pobiegł do lasu.

Furman zgodnie z poleceniem bandyty przywiózł ciało zastrzelonego przez dziedzica herszta do Świdników. Gdy tylko przyjechał, zemdłał na skutek nadmiaru przeżyć.

We dworze zjawiała się policja. I to bynajmniej nie miejscowi posterunkowi, nadający się co najwyżej do ścigania złodziei drobiu. Na wieść o napadzie władze centralne wysłały z Warszawy do Świdników najzdolniejszych agentów. Mieli do dyspozycji techników kryminalistycznych. Jeszcze tego samego dnia nadzór nad dochodzeniem powierzono sędziemu śledczemu do spraw szczególnej wagi.

Reakcja policji była tym razem zupełnie inna niż w przypadku wcześniejszych dokonań bandy Rycaja. Warszawscy agenci, spośród których kilku podobno zdobywało policyjne szlify, praktykując w Scotland Yardzie, natychmiast zabrali się do pracy, przesłuchiwali świadków, zabezpieczali ślady a za zbiegłym bandytą wysłano grupę pościgową z psami tropiącymi.

Zabity dziedzic należał do szczególnie zajadłych krytyków nieudolnych poczynań policji. Wielokrotnie wręcz

zapowiadał, że tak tego nie zostawi. Czy gdyby mógł zobaczyć śledztwo prowadzone w jego sprawie, odwołałby swoje oskarżenia? Czy byłby chociaż zdumiony tą metamorfozą? Otóż niekoniecznie...

Węgleński odkrył spisek i chciał go ujawnić?

Przez dwa tygodnie kilkudziesięciu agentów policyjnych penetrowało wsie, lasy, każdy przysiółek w gminie Grabowiec, depcząc po piętach bandycie. Ten jednak, świetnie znający okolicę, parokrotnie sprytnie wymykał się obławom.

Ale jego los, wobec tak zmasowanych sił policyjnych, był przesądzony. Został pojmany 31 marca 1913 r. w majątku Niedziałkowiec w domu pewnego chłopca. Aresztowania dokonał naczelnik straży ziemskiej kapitan Bazyli Preobrażenski. Przy bandycie znaleziono dwa rewolwery browning, 80 rubli w gotówce i złoty zegarek – własność zamordowanego Jana Węgleńskiego.

Zatrzymany mówił o sobie „Czarny”. Tak kazał zwracać się do siebie właścicielowi, w domu którego się zamelinował. Do protokołu oświadczył, że nazywa się Stępnik. Ale jego prawdziwe imię i nazwisko brzmiało Dymitr Dzińkowski. 25 lat, karany.

Bezpośrednio po zatrzymaniu Dzińkowski przyznał się do 24 zabójstw. Niewykluczone, że takim oświadczeniem chciał

zaimponować kapitanowi Preobrażenskiemu.

W ciągu kolejnych tygodni wyłapano pozostałych członków bandy. Jeden z nich, niejaki Jan Niemiec, został ujęty w Rotterdamie.

Sprawę Dymitra Dzińkowskiego rozpoznawał warszawski sąd wojskowo-okręgowy. Oskarżonemu zarzucano zabójstwo obywatela Węgleńskiego i udział w napadzie na majątek Świdniki, udział w zbrojnych napadach na majątki: Białowody, Cześniki i Horyszów Polski, współudział w zabójstwach strażnika ziemskiego i włościanina oraz szereg pomniejszych napadów na chłopów i sklepikarzy, rabunek gotówki, kosztowności i koni.

W toku przewodu sądowego Dymitr Dzińkowski przyznał się do większości zarzutów, zaznaczając, że główną odpowiedzialność za zbrodnie ponosi przywódca bandy, nieżyjący Jan Rycaj. Dzińkowski jako jego podkomendny w zasadzie tylko wykonywał rozkazy herszta. Przypadające na niego części łupów z napadów w większości przepił.

Jesienią 1912 r. „Czarny” uciekł z rot aresztanckich, na które był skazany za kradzieże. We wsi Cieszyn spotkał na swojej drodze Jana Rycaja. Swój poznał swego – najpierw popełniali we dwóch drobne kradzieże, potem, wyszukawszy jeszcze paru rzezimieszków, zaczęli na terenie kilku powiatów napadać na chłopów folwarcznych i właścicieli wiejskich sklepów. Z czasem na majątki ziemskie.

Rycaj mówił, że chce zrabować większą sumę pieniędzy, żeby wyjechać za granicę. Nikt w bandzie nie kwestionował

jego przywództwa. Ledwie potrafiącym się podpisać opryszkom Rycaj niewątpliwie imponował obyciem, elegancją, gładką mową a także sprytem i przebiegłością. To on decydował, kiedy i gdzie przeprowadzić napad. Potem nakazywał szybką ewakuację z miejsca zbrodni. Sprawiedliwie dzielił łupy.

Dzińkowski stanowczo zaprzeczał, że zabił Węgleńskiego, zrzucając winę na Rycaja. Kłam jego słowom zadała córka zamordowanego dziedzica, która stanowczo stwierdziła, że do ojca strzelał obecny na sali sądowej oskarżony, którego pokazała sędziom, Wspólnika Rycaja obciążyła też pani Węgleńska.

1 czerwca 1913 r. Dymitr Dzińkowski został skazany na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wykonano w ciągu 24 godzin od jego ogłoszenia. Tym sposobem banda Rycaja przestała istnieć. Jednak echa jej działalności jeszcze nie umilkły.

Napady i morderstwa, dokonywane przez szajkę nieuchwytnych opryszków, były atrakcyjnym tematem dla goniącej za sensacją prasy. O Rycaju pisały niemal wszystkie wychodzące wówczas dzienniki a także Tygodnik Ilustrowany oraz poważny dwutygodnik popularno-naukowy „Jutrzenka”.

Skupiano się przede wszystkim na doniesieniach z ostatniej chwili i na relacjonowaniu przebiegu napadów, nie unikając drastycznych opisów zbrodni. Nie doszukiwano się natomiast w działalności bandy drugiego dna. Nie

próbowano odczytać tego „białego”, które się kryło między wierszami, w zamian karmiąc czytelników strugami krwi i kanonadami kul z browningów. Był jednak wyjątek. Według dziennikarzy wydawanego w Krakowie Ilustrowanego Kuryera Codziennego sprawa miała zaskakujący i mroczny kontekst.

Po kilku napadach w okolicy, których sprawcy nie zostali wykryci i nawet niespecjalnie gorliwie ich ścigano, Węgleński zwrócił uwagę na dziwną nieudolność policji w tropieniu bandytów. Tak jak wielu – nie ukrywał niezadowolenia z tego powodu. Ale w jego przypadku nie skończyło się na irytacji.

Zaczął grzebać w tej sprawie i doszedł do sensacyjnych wniosków. Otóż ustalił, że Jan Rycaj miał potężnego protektora. Dlatego tak długo działał bezkarnie. Ten protektor nosił złowrogą dla polskich patriotów nazwę: „Ochrana”.

Ochrana była tajną policją polityczną w Imperium Rosyjskim. Do jej głównych zadań należało tropienie przeciwników władzy, natomiast specjalnością stało się organizowanie wszelkiego rodzaju prowokacji. W tym celu funkcjonariusze Ochrany korzystali z usług szpicli i prowokatorów, których werbowali do niejawniej współpracy.

Rycaj mógł zasilić szeregi polskich zdrajców podczas pobytu w rosyjskim więzieniu, z którego rzekomo zbiegł na kilka lat przed końcem orzeczonej kary. Zapewne kupiono go za niewygórowaną cenę. W przypadku więźnia

skazanego za pospolite przestępstwa wystarczyło pozwolić mu uciec i zapewnić powrót w rodzinne strony.

Być może nie korzystano zbyt często z jego usług, można nawet wcale, ale nie zapomniano o nim. Pod koniec 1912 lub na początku 1913 r. powierzono mu poufne zadanie.

Ilustrowany Kurjer Codzienny w tekście „Polityczny bandytyzm rządu carskiego” z 29 marca 1913 r. donosił, iż w związku z utworzeniem guberni chełmskiej, władze miejscowe postanowiły wyrugować polskich obywateli z Chełmszczyzny, żeby na opuszczonych przez nich ziemiach mogli osiedlać się Rosjanie, oczywiście zasobni finansowo, oddani caratowi i wdzięczni tym, którzy im to umożliwili.

Niewątpliwie pomysł wart był, jeśli nie mszy w cerkwi świętego Wasyla, to przedyskutowania go w szerszym gronie. Nie można było bowiem jak niegdyś konfiskować majątków polskich ziemian w ramach represji za działalność antypaństwową, a przynajmniej nie w takiej ilości, na jaką było zapotrzebowanie. Tym bardziej, że w Kongresówce nie szykowało się kolejne powstanie.

Znaleziono inny sposób. Nie miał on nic wspólnego z legalnością. O spisku wiedziała nieduża grupa. Wśród wtajemniczonych (zapewne w niewielkim zakresie) znalazł się Rycaj.

Według popularnego „IKaCa” plan był iście diaboliczny. Samemu nic nie robić, pozostać w cieniu. Zamiast bezpośrednich działań władze zorganizowały bandę rozbójniczą pod wodzą Jana Rycaja. Miał on za zadanie tak długo siać postrach wśród ziemian, żeby sami zaczęli się

wyzbywać swoich dóbr, sprzedając je za psie pieniądze pierwszym z brzegu oferentom. Oczywiście podstawionym.

W zamian Rycaj zyskiwał parasol ochronny policji a łupami z napadów mógł dowolnie dysponować. Były katorżnik na usługach Ochrony przystał na ten układ. Banda z przytupem rozpoczęła swój krwawy marsz. Wszystko szło jak po maśle.

Jednak Węgleński prowadząc prywatne śledztwo przejrzał tę grę. Nie zamierzał milczeć. Podobno chciał ze swoimi rewelacjami pojechać do Warszawy do generał-gubernatora Georgija Skałona. Stał się groźny. Ujawnienie spisku byłoby wielkim skandalem. Poleciałyby dziesiątki głów.

Za wszelką cenę postanowiono temu zapobiec. Jednym skutecznym sposobem na zachowanie wszystkiego w tajemnicy było uciszenie Węgleńskiego. Morderstwa podjął się Rycaj – być może za jakąś dodatkową zapłatą.

Tak według krakowskiego dziennika przedstawiały się kulisy działalności bandy Rycaja. Czy rewelacje „Ikaca” były prawdziwe? Nie można odpowiedzieć na to pytanie twierdząco ani zaprzeczyć. Opublikowano tylko jeden tekst na temat rzekomych powiązań przestępców z wysoko postawionymi przedstawicielami rosyjskiej administracji. Na procesie Dzińkowskiego żadna ze stron nie poruszyła tego wątku.

Wydaje się jednak, że wysokonakładowa ogólnopolska gazeta nie pozwoliłaby sobie na fake news w tak ważnej sprawie. Coś na rzeczy niewątpliwie musiało być.

Po pierwsze, Rycaj. Zarówno poszkodowani jak i kompani z bandy podkreślali wytworne maniery, elegancki ubiór i staranną mowę herszta. Zapewne Rycaj nie był zwykłym rzezimieszkiem.

Po drugie, na pomysł napadu na majątek w Świdnikach wpadł nagle; śpieszył się i nawet nie powiadomił o swoim zamiarze wszystkich podkomendnych. Wziął tylko najwierniejszego adiutanta, głównego współnika, Dymitra Dzińkowskiego. Nie można wykluczyć, że zlecenie przyszło w ostatniej chwili i nie miał czasu, musiał improwizować.

I po trzecie – postawa policji po zabójstwie Węgleńskiego. Wysłanie do – jakby nie patrzeć - zwykłego napadu bandyckiego najzdolniejszych agentów warszawskich i powierzenie nadzoru nad śledztwem sędziemu śledczemu do spraw szczególnej wagi było czymś niesłychanym. Czy rzeczywiście mieli oni za zadanie jedynie schwytać mordercę Węgleńskiego? A może ważniejsze było usunięcie kompromitujących materiałów, jakie dziedzic zapewne zgromadził?

Epilog

14 września 1913 r. z pompą otwarto oficjalnie gubernię chełmską. Nowo mianowanego gubernatora Aleksandra Woźyna, który przyjechał do Chełma pociągiem z Lublina, powitały na stacji kolejowej władze miasta na czele

z burmistrzem Knarrem, naczelnik i wicenaczelnik powiatu chełmskiego a także delegaci gminy żydowskiej i inni oficjele. Potem były liczne przemowy i uroczysty obiad w Klubie Rosyjskim.

Prawosławny biskup Eulogiusz odprawił nabożeństwo w chełmskim soborze. Mowa hierarchy była utrzymana w politycznym i antypolskim tonie. Z ust biskupa padły słowa o „wyzwoleniu z polskiego ucisku”.

Z polecenia policji wszystkie domy na trasie przejazdu bądź przemarszu gubernatora były udekorowane flagami Rosji. Tłumy ludzi zgromadziły się na rynku i przed Klubem Rosyjskim. Uroczystość przebiegła spokojnie.

Jednak gdy naczelnik powiatu Anisimow żądał żeby publiczność zdejmowała czapki przed gubernatorem Wołżynem i krzyczała „ura”, nikt się do tego kwapił.

Koniec Wersji Demonstracyjnej